

Biłgoraj

Linia kolejowa przebiegała między osmalonymi lasami. Był to dziwny obraz: zwęglone pnie albo na pół spalone drzewa, z których wystawały gałęzie z zielonymi igłami. To Rosjanie wycofując się podpalali lasy. W ciągu trwającej niemal trzy dni podróży, zaspokoilem nieco moje pragnienie obcowania z przyrodą. Przyglądałem się wszystkiemu: polom, lasom, ogrodom, sandom, wioskom... Wszystko mnie ciekawiło. Każdy kawałek ziemi wyglądał inaczej. W każdym drzewie dostrzegałem inne kształty. Jedno drzewo wystawiało parę gałęzi w górę niczym ramiona. Prosiło zielonymi rękoma o jakiś dar z nieba.

Jedno z drzew zrezygnowało widocznie z pomocy nieba. Zupełnie się pochyliło ku ziemi. Jeśli skądś ma nadejść zbawienie, to z dołu, z gęstwiny gleby i korzeni. Inne stało zupełnie spalone, czarne jak węgiel - pogorzelec, który wszystko stracił oprócz korzeni. Trudno było rozpoznać na jego osmolonym obliczu, czy żywi jeszcze jakąś nadzieję czy też już dawno pożegnał się ze wszystkimi zielonymi złudzeniami i zupełnie pogodził ze śmiercią. Moje myśli biegły tak szybko jak pociąg. Każde drzewo, każdy krzak budziły we mnie myśli, porównania. Każda chmurka na niebie przemawiała do mnie językiem i pismem nie z tego świata. Od czasu do czasu widziałem ptaki, zające, wiewiórki. Powietrze pachniało sosnami, żywicą i innymi woniami, które wydawały mi się zarazem niezwykle i dziwnie znajome, jakbym je już poznał w moim wcześniejszym życiu. Miałem ochotę wyskoczyć z pociągu niczym, bohaterowie książek, które czytałem.

Między Zwierzyńcem a Biłgorajem dopiero, co zbudowano kolejkę wąskotorową. Faktycznie była jeszcze w budowie, ale pociągi już po niej jeździły. Zobaczyłem małą lokomotywę, samowarek z kominem i małymi kółkami niczym zabawka dla dzieci. Trudno było pojąć jak maszynista, dorosły człowiek, zdołał wejść do środka. Do parowoziku były przyłączone otwarte wagony, niskie platformy z ławkami. Na ławkach siedzieli biłgorajscy Żydzi. Widziałem ogorzałe twarze, wiele rudych bród i chałaty, także jakby spalone słońcem: wyblakłe, pożółkłe, brunatne. Wyglądali swojsko, jakby wszyscy byli moimi krewnymi.

- O, Baszewe! - zawołał ktoś.

- Baszewe, córka rabina...

Wiedziałem, że moja matka nazywa się Baszewe, ale nigdy nie słyszałem, żeby zwracano się do niej

po imieniu. Mój ojciec zwykle nie zwracał się do niej w ten sposób, tylko mówił: „Słuchaj no”. Zwracanie się do kobiety po imieniu uważane było u chasydów za frywolność. Zresztą, kto by w Warszawie zwracał się do mojej matki po imieniu? Ja sam dorastałem w przekonaniu, że Baszewe jest imieniem z Pisma. W chederze chłopcy często rozmawiali o swoich matkach i wymieniali ich imiona, ale ja się jakoś wstydziłem imienia matki, które brzmiało jak ze świętej księgi i pachniało Torą i grzechem króla Dawida.

Ale tu ze wszystkich stron wołano do matki po imieniu i wszyscy mówili jej na ty. Kobiety oblegały ją i obcałowywały. Matka nie była ' pewna, czyjej ojciec żyje. Miała złe przeczucia. Zapytała tylko:

- Kiedy to się stało z ojcem?

Nastąpiła chwila ciszy i mama dowiedziała się nie tylko o ojcu, ale także o matce i szwagierce Sarze Cizie, żonie wuja Josefa. Dziadek zmarł w Lublinie. Babka zmarła parę miesięcy później w Biłgoraju. Sara Cizie i jej córka Itele zmarły w czasie epidemii cholery. Straciłem także dwóch kuzynów, młodszego syna wujka Icie, Jecheskiela, i córkę ciotki Tojbe - Ite Dwojre. Była córką wuja Mendla, którego wspominam w innym opowiadaniu.

Te ponure wieści dziwnie nie pasowały do słonecznego dnia, błękitnego nieba i sosnowych lasów, które wyrastały ze wszystkich stron, gdzie tylko zwrócić oczy. Cała okolica była jednym ogrodem, zielonym rajem. Matka zaczęła płakać. Uważałem, że też powinienem płakać, ale nie mogłem wydusić żadnych łez z oczu i zrobiłem, to co potrafią tylko kobiety, mali chłopcy i kłamcy - zasłoniłem oczy, żeby wyglądało, iż płaczę.[...]

W środku drogi wszyscy Żydzi zaczęli krzyczeć tak, jak krzyczy się w bóżnicy na Rosz Haszana i Jom Kipur: okazało się, że wagony się wykoleiły. Długo trwało, zanim znowu stanęły na szynach. Dokonano tego za pomocą drągów. Mówiono, że wszyscy pasażerowie powinni odmówić w szabas modlitwę dziękczynną. Ta nieszczęsna kolejka pochłonęła już niejedno życie.

Trudno jest oddać piękno trzech mil drogi między Zwierzyńcem a Biłgorajem. Jechało się to przez lasy to znów pola. Gdzieniedzie wyrastała chata kryta strzechą, albo mały biały domek kryty dachówką. Kolejka za każdym razem się zatrzymywała. To ktoś chciał napić się wody, to znów pójść za potrzebą. Maszynista miał znajomych wśród gojów i dostarczał im różne pakunki, albo ucinał sobie pogawędkę. Żydzi także mieli swoje sprawy. Obchodzili się z maszynistą jak z szabes gojem. Raz, kiedy kolejka zatrzymała się na dłuższą chwilę, wyszła z jakiegoś domku bosa Żydówka w chustce na głowie jak chłopka i dała mamie w prezencie kobiałkę z jagodami, na których leżała jeszcze rosa. Ktoś jej widocznie powiedział, że Baszewe, córka rabina, jest tutaj i dlatego pospieszyła z darem. Mama nie była w nastroju do jedzenia, ale ja i mój brat Mosze zjedliśmy wszystkie jagody i mieliśmy potem czarne usta, czarne zęby i czarne ręce. Lata głodu pozostawiły w nas apetyt, którego długo nie można

było zaspokoić.

Nasłuchałem się od matki wiele pochwał na temat Biłgoraja, ale miasto było jeszcze ładniejsze niż w jej opisach. Otaczały je gęste sosnowe lasy, które wyglądały jak błękitna wstęga. Tu i ówdzie między domkami rozciągały się pola i ogrody. Przed domkami stały grube drzewa z gęstwiną gałęzi i liści, jakich nigdy nie widywałem w Warszawie nawet w Ogrodzie Saskim, do którego czasami wchodziłem przez kraty. Miasto pachniało świeżo udojonym mlekiem, wypiekami z pieca i niezwykłym spokojem. Trudno było uwierzyć, że jest wojna i epidemia.

Dom dziadka stał niedaleko od bożnicy, domu nauki, mykwy, cmentarza. Był to stary drewniany dom zbudowany z bali, pobielony. Przed niskimi oknami stała ława. Rodzina wyszła nam na naprzeciw.

Pierwszy wybiegł wujek Josef, który przejął po dziadku urząd rabina. Mówię „wybiegł”, bo wuj Josef nie chodził, tylko biegał. Był chudy, zgarbiony, z mleczną brodą, haczykowatym nosem i wielkimi oczyma jak u orła. Był ubrany w rabinacką kapotę, kapelusz z szerokim rondem i nosił półbuty na białych pończochach. Nie pocałował się z mamą, tylko zawołał:

- Baszewe!

Za wujkiem Josefem szła kołysząc się tęga kobieta, ciotka Jentl, trzecia żona wuja. Pierwsza umarła, kiedy wuj Josef miał szesnaście lat, druga przed półtora roku w czasie epidemii. Tak jak wuj Josef był chudy i zwinny, tak jego żona, (której moja matka oczywiście nie знаła) była tęga, rozłożysta, ciężka. Bardziej wyglądała na rabinową niż on na rabina. Po nich zjawiała się chmara rudowłosych dzieci. Nigdy wcześniej nie widziałem tyle rudych głów, co przy tamtej okazji. Sam miałem jaskrawo rude włosy i takie spotkanie z siedmioma czy ośmioma rudzielcami wprawiło mnie w osłupienie. Dotąd byłem z moimi włosami wyjątkiem - w chederze, w chasydzkiej bóżniczce, nawet na podwórku. Rudy kolor moich włosów uważałem za równie dziwny jak imię matki, zajęcie ojca czy pisaninę brata. A tu wpadłem między chmarę rudzielców. Szczególnie rude były córki wuja: Brache, Tojbe i Ester.

Zaprowadzono mnie do wielkiej kuchni wuja, gdzie ujrzałem niezwykle rzeczy. Wszystko było dla mnie nowe. Po pierwsze stał tam wielki piec chlebowy, jak u piekarza. Ciotka Jentl akurat piekła chleb. Po drugie nad piecem był okap, a na piecu stał trójnóg, na którym znajdował się garnek. Na talerzu leżała głowa cukru, po której przechadzały się muchy. Kuchnia pachniała świeżo rozczynionym ciastem i kminkiem. Ciotka poczęstowała nas zaraz plackiem ze śliwkami, który wprost rozpląwał się w ustach. Synowie wuja, Awrumele i Szimszen zaprowadzili mnie na podwórze, ale to nie było podwórze tylko ogród. Było tam kilka drzew. Pokrzywy i rozmaite chwasty rosły wysoko. Wszędzie kwitły kwiatki: białe, żółte, nakrapiane. Było tam coś w rodzaju otwartej szopy - dach oparty na czterech drągach, a pod tym dachem stało łóżko pokryte słomą. Usiadłem na łóżku

i wydawało mi się, że nie ma większego luksusu. Ptaszki śpiewały, cykały świerszcze. Powietrze było pełne niezliczonych głosów i dźwięków. W pobliżu przechadzały się kury i kurczęta. Kiedy uniosłem głowę, zobaczyłem biłgorajską bóżnicę i pola, które rozciągały się wokół aż po skraj lasu. Pola miały różne kształty i barwy: kwadraty, romby, trójkąty, zielone, ciemne, żółte. Byłem w rajach i miałem tylko jedno pragnienie: żeby nikt mnie stąd nie wyrzucił.

Przełożyła z jidysz Monika Adameczyk-Garbowska. Opowiadanie pochodzi ze zbioru Majn tatns bes-din sztab, I.L. Perc Farlag, Tel-Aviv 1979.

TUROBIN

Możecie nie wierzyć, ale są na tym świecie ludzie, którzy zostali przywróceny życiu. Sama znalazłam u nas w Turobinie takiego człowieka, bogacza. Nazywał się Alter, a jego żona miała na imię Szifra Lea; widzę ich teraz jakby tutaj przede mną stali.

Ona była cienka jak tyczka, skóra i kości, i czarna jak szufla piekarza; on - niski i jasnowłosy, o pękatym brzuchu i małej zaokrąglonej brodzie. Chociaż była żoną bogacza, nosiła parę zniszczonych chodaków i szal zarzucony na głowę oraz ciągle szukała okazji, żeby coś taniej kupić. On natomiast handlował drewnem i był udziałowcem w tartaku; pół miasteczka kupowało od niego drzewo. W przeciwieństwie do żony lubił wygodnie żyć, ubierał się jak hrabia, zawsze nosił krótki surdut i wysokie giewzowe buty w dobrym gatunku. Można by policzyć wszystkie włosy w jego brodzie, tak były starannie uczesane i wyszczotkowane...

1. B. Singer, Przywrócony życiu, przeł. Monika Adameczyk-Garbowska, w: *Spinoza z ulicy Rynkowej*, Atext, Gdańsk 1995